NUMER 5. MARZEC 1909. ROK I.

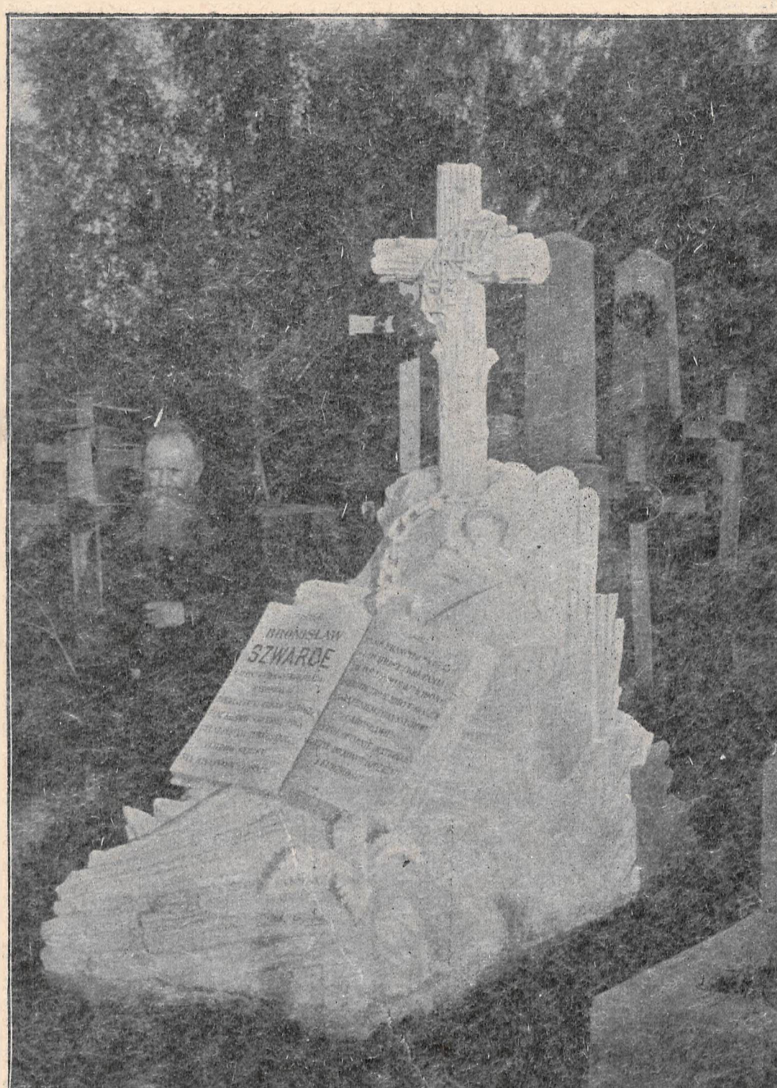
NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

CIENIOM BRONISŁAWA SZWARCEGO.



Na cmentarzu łyczakowskim postawiono pomnik członkowi rządu narodowego z r. 1862. Uczestnicy styczniowych bojów przy życiu pozostali wznieśli go własnem staraniem, wyrażając w kamieniu czem był duch Bronisława Szwarcego i czem oni sami byli w czasach tych krwawych i czem pozostali razem z duchowym swym przewodnikiem na dalsze życie.

Od śmierci Bronisława Szwarcego lat pięć minęło. Ale czas zatrzeć nie zdołał światła z wyniosłej postaci, ani wspomnienia płomiennej miłości ojczyzny, z którą szedł przez twardą dolę i bezmiar cierpień.

Wspomnieniem tedy i przypomnieniem męża zasług pełnego jest pomnik cmentarny z tym swoim cierniem, okowami, otwartą księgą dziejową — wspomnieniem żywem i przypomnieniem, słowa poświęcone Szwarcemu przez Marję Wysłouchową:

*

Bretanja*) — zielona, skalista, dzika, smagana falą burzącego się oceanu — była Mu piastunką pierwszą. Była piastunką dobrą, choć surową: podmuchami wichrów ostaliła nerwy przybranego Syna — dała Mu nieugiętą oporność skał granitowych, nauczyła patrzeć bez mrużenia powiek w przepastne głębie, zawrotne wiry, nieścigłe dole, napoiła źrenicę barwą zieloną — nadziei barwą.

A rodzice tułacza wkładali w duszę młodą to, czego Bretanja dać nie mogła: Miłość ojczyzny dalekiej, nieznanej — nienawiść buntowniczą dla depcącego ją najazdu.

Matka, artystka, rozmarzała wyobraźnię dziecka pieśnią Szopena o tęsknicy pól mazowieckich, o smętnych widmach-mgłach, co się słaniają nad niemi w blaskach księżyca — ojciec, żołnierz-rewolucjonista, stroił ją wysoko opowieścią o Wielkiej Nocy Listopada, o krwi Grochowa, wawrzynach Dębu i dębach Wawru — opowieścią „z łez, z ognia, z żelaza“.

Potem znalazł się w wielkiem mieście, w Paryżu, „stolicy świata“. Uczył się. Z ksiąg czerpał mądrości skarby.

Nagle uderzyła fala życia, potężna, rozdęsana, jak Atlantyk u brzegów Bretanji.



BRONISŁAW SZWARCE.

Wiosna ludów! Wichry nowych myśli. — Pioruny, bijące w trony. — Błyskawice krwawe, szerokie. — I dziejów wiew — i „ludu gniew“.

Wiosna ludów! pod jej tchnieniem gorącem rozemknęła się z pąka i zakwitła dusza dziecka. Uniesienie porwało i rzuciło na barykady czternastoletnie pacholę...

Pierwszy chrzest ognia — pierwsza ofiara. I znowu dni cichej pracy: kształcenie woli, wzbogacanie umysłu, nabywanie wiedzy fachowej, trzeźwej, opartej na naukach ścisłych, na cyfrze, na rachunku opartej.

A dokoła świat zimny — obcy. Za cały majątek „dwa doły“: grób matki w Bretanji i ojca w Paryżu. Dokoła tłum obojętny, a wśród niego jedna tylko twarz swoja, mądra i skupiona, kochająca i kochana — twarz opiekuna Litwina.

Nie w Paryżu — w stolicy niemieckiej nad modrym Dunajem dobiegła Go wieść o budzeniu się Warszawy, o tłumach rozmodlonych, z płaczem wołających po świątyniach: „Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić, Panie!“ — o hymnach rycerskich, bijących w niebiosa z piersi wielotysięcznej — o procesjach — i krzyżach porąbanych i krwią zbroczonych trupach...

Wieść ta zabrzmiała w jego duszy, jak hasło, jak okrzyk bojowy, jak pieśń wabiąca. Rzucił wszystko bez wahania i znalazł się w Warszawie.

Przybywał do Ojczyzny nieznanej, aby oddać jej siły i serce — przybywał z ofiarą życia młodego. I tu na gruncie, drżącym od ognia kryjących się wulkanów, zakwitły dla Niego złote kwiaty szczęścia — pierwsze i ostatnie — ale niezwykłe, ale czarownie piękne.

Żył wzniosłem życiem pracy, poświęcenia, ofiary dla celów wysokich, promiennych: władał duszami współbraci, żarem własnej piersi rozgrzewał zimniejsze serca i porywał je za sobą —

*) Artykuł drukowany w „Tygodniu“ z r. 1904.

w górę! — otaczała sierotę-tułacza rajska atmosfera uczuć, dotąd nie zaznanych: pokrewieństwa, przyjaźni, braterstwa, miłości; czuł się w domu, u siebie, z swoimi; marzył o walce bohaterskiej za Wolność i Ojczyznę, za skarby najdroższe i najświętsze prawa narodu — ludzkości.

Uwięzienie położyło kres działaniu, odcięło od świata, od najdroższych — zgasiło wszystkie tęcze, wszystkie gwiazdy na niebie marzeń.

Ciasna cela więzienna. — Samotność. — Badanie inkwizytorskie. — Wyrok śmierci. Skazanie na stryczek — na szubienicę...

Ale szybki, choć okrutny, zgon nie był Mu sądzony. W księdze przeznaczeń stało inaczej. Los niebo północy ponad nią. Wśród jeziora wyspa — na niej „sekretny“ zamek średniowieczny, przeznaczony dla najcięższych przestępców, najbardziej niebezpiecznych wrogów caratu.

W murach granitowego zamku upłynęło Mu siedm lat. I nigdy — ani wiosną, kiedy słońce wzbija się najwyżej, ani jesienią, kiedy skośne jego światło wydłuża smugi złote — nigdy najmniejszy jego promień nie zapadł do celi więźnia, jak grób ciasnej i mrocznej, jak grób milczącej, tylko nie takiej spokojnej. I nigdy też — przez wszystkie lata — nie usłyszał dźwięku życzliwego głosu, nie ujrzał twarzy innej, niż twarze sług carskich — carskich posiepaczy — nigdy — ani razu!



Dziatwa ś. p. Bronisława Szwarcego
(po powrocie z Sybiru).

miał dla Niego kielich goryczy bezdennie głęboki. Cytadela warszawska, widmo śmierci męczeńskiej lecz chlubnej — to były jeno pierwsze krople tego kielicha, krople najsłodsze...

Zielona nadzieją Bretanja stanęła w obronie przybranego syna. Francja upomniała się o swego obywatela...

Mara śmierci znikła z przed oczu skazańca. Cytadelę warszawską zastąpił Szliselburg, głębszy krąg piekła, przez które miał przejść za życia.

Jezioro Ładoga — olbrzymia masa wody, marznącej, wiecznie zmarszczonej, ołowianej, jak

Jedyną przyjemnością dla ucha były dźwięki własnego jego głosu, śpiewającego pieśni rewolucyjne — jedynem weselem oczu — chora jarzębinka w podwórzu — białe króliki, trwożnie zapadające w ziemię i stado gołębi, które okrywały go nieraz chmurą skrzydeł drżących, słodziły samotność, dawały ochłodę chwilowego zapomnienia, jak litościwe Oceanidy przykutemu do skały Prometeuszowi.

A bura, zimna, zdradliwa Ładoga wysysała zwolna, lecz bez przerwy siły młodego ciała, aż złamało się bólem okrutnym, aż poddało ciężkiej chorobie.

Ale nie poddał się duch; owszem w mękach wielmożniał, w tytanicznych zapasach z hydrą zwątpienia rósł w moc i odpierał zwycięzko pokusy. A pokus nie brakło: dwa razy w ciągu ostatnich lat zamknięcia skazany na dożywotnią mękę więzień mógł otworzyć sobie bramę zaklętego zamku i wrócić do świata żyjących — dwa razy — i to za marną cenę — za cenę obietnicy, wymuszonej — a więc wedle rozciągliwych sumień — do niczego nieobowiązującej, że wróci do Francji, że zrzeknie się walki z caratem. Dla Niego jednak była to cena tak olbrzymia, że na szalę rzucona, przeważyła wszystko inne. On nieznał kompromisów ze sobą samym. Wolał mękę powolnego konania, niż akt skruchy przed despotą, przed wrogiem Polski, wrogiem wolności. I dopiero wyrok lekarza: „Nie będzie żył“ — uwolnił go ze Szliselburga, gdzie w ciągu ostatnich lat trzech sam był tylko — sam.

I znowu odwróciły się karty w księdze Jego przeznaczeń.

Bezmierne przestrzenie Azji. — Otchłanie rzeźwiącego powietrza. — Powrót do zdrowia. — Pobyt na dalekim Wschodzie, w twierdzy samotnej na granicy Chin. Po tem zbliżeniu się do miejsc bardziej zamieszkałych znowu praca konspiracyjna, tajna, dla obalenia caratu z dumnem wyzwaniem w duszy i na ustach: „Niedbam; jaka spadnie kara: mina, Sybir, czy kajdany“. — W następstwie więzienie w Tomsku, trzecie z rzędu — ohydne — okropniejsze od tamtych, zaludnione larwami wyobraźni, znękanej chwilowo aż do halucynacji — dno piekła. — Potem wygnanie na dalsze jeszcze kresy. — Tam — przystań zaciszniejsza, chwila wytchnienia po dwudziestu latach męki. — Uśmiech losu pod postacią dziatek, ukochanych nad wszystko, gruchających niby gołąbki na Ładodze.

Uczył je mowy polskiej słowami modlitwy, opowiadał o kraju dalekim, o Polsce, do której Jego dusza, jak dusza Anhellego, wracała na drżących promieniach tęsknoty.

I jeszcze raz odwróciły się karty w księdze Jego przeznaczeń.

Powrót do Ojczyzny z trojgiem drobnych dzieci, z których najstarsze miało siedm, najmłodsze cztery lata. Podróż przez Azję i Europę, przez piaski bezwodne i bezludne pustynie, przez stepy, wąwozy i rzeki ogromne, morzom podobne — podróż pełna przygód, scen rozrzewniających i tragicznych wypadków. A potem pobyt wśród swoich. Praca na chleb ciała i „na chleb zbawienia“ — praca podejmowana z zapałem i wiarą, co góry przenosi.

W końcu zachód posępny burzliwego dnia życia. — Walka z chorobą okrutną — ostatnia walka — ale pierwsza, z której nie wyszedł zwycięzko...

Po śmierci chwała. Tłum wielotysięczny — jęki dzwonów — krepy żałobne i wieńce — sztandarów pokłon — pieśni bojowe — słowa czci i hołdu.

A w sercu tych, którzy go znali i wielbili, żałoba smutku bez granic i światłość pamięci wiekuistej...

M. W.

ARKA PRZYMIERZA.

(Pieśni ludowe celtyckie, germańskie, romańskie, spolszczył Edward Porębowicz, Lwów. Księgarnia H. Altenberga. 1909).

Pieśń ludowa obca, polskiemu językowi przyswojona, brzmi jakoś twardo i trudno, nawet mimo bardzo pięknego tłumaczenia i wszelkich gwarancji, jakie daje prof. Porębowicz, co do zachowania właściwości miejscowych. Ma się wrażenie, że nawet pieśń o donnie Lombardzie, tak pięknie przełożona, nie da przecież wrażenia o oryginale, ani też owe pieśni, które łacniej zrozumieć, dlatego, że ich temat i myśl wspólne są także pieśni polskiej.

Pieśń ludowa celtycka, germańska, czy romańska nie może być przez nas odczuta — może być co najwyżej zrozumiana, oceniona jako motyw literacki, może wreszcie stanowić przedmiot studjów porównawczych, dających miarę odrębności narodowych, czy rasowych.

I dlatego, mimo wszystkich piękności, które zebrał prof. Porębowicz z obcych zagonów ludowych, przerzuca się kartki niniejszej książki z innem zgoła uczuciem — niż karty Kolberga, Glogera, roczników „Wisły“ czy „Ludu“. Ale pouczające to

jest bardzo i konstruktywne — otwiera nowe światy i nieznane horyzonty, uczy rozumieć i porównywać, zwracając myśl mimowoli nawet ku polskiej skarbnicy ludowej.

Uczynił to samo i prof. Porębowicz. Z pól celtyckich, germańskich, romańskich zeszedł na zagon pszeniczny polski i przez porównanie rozsnuł nad nim szereg głębokich uwag. Taki znawca pieśni ludowej europejskiej, miał, rzecz naturalna — dużo do powiedzenia i o pieśni własnej — dobrze tedy, że zestawił ją w przedmowie do kart, z których duch taki obcy powiewa.

Przedewszystkiem trafne jest bardzo wydobycie pojęcia ludu z granic klasy społecznej. U prof. Porębowicza granica między ludem a resztą społeczeństwa idzie przez szkolną i dworską oświatę. Ludem jest to, co się styka bezpośrednio z przyrodą i co przechowuje mowę w kształcie starszym,





I. Karta tytułowa: Pieśni francuskie. II. Karta tytułowa: Pieśni bretońskie.
(Według rysunku p. Stanisława Dębickiego).

pierwotniejszym i czystszym, niż język klas oświeconych. W tem znaczeniu będzie ludem, nie tylko nawet szlachta zagrodowa u nas — jak powiada autor — ale może i znaczniejszy ogół szlachecki, zwłaszcza w dawniejszych wiekach.

„Ten lud posiadał i jeszcze dziś posiada najwyższe przywileje społeczeństwa: jest twórcą i jest artystą“. Dlatego poezja ludowa — mówi autor na innem miejscu — powinna stać na czele wszelkich dziejów literatury. Z jednej strony, jako niezwyrodniały prawzór gatunku będzie miarą i sprawdzianem swojskości poetów narodowych; z drugiej jako najpierwotniejszy wyraz popędów artystycznych człowieka, będzie ideałem tej naiwnej, a rzetelnej sztuki, do której po okresach wyczerpania, przesytu rada powraca twórczość poetycka, by stamtąd zaczerpnąć świeżego, życiodajnego oddechu.

Bardzo ciekawe są uwagi autora na temat właściwości szczepowych, geograficznych i kulturalnych pieśni ludowej. Jest zasadnicza różnica między ponurym tonem *sag* skandynawskich, a pogodnym toskańskich *rispetti*. Pieśni z okolic morza, gór będą obracać się we właściwej sferze przenośni, porównań, obrazów. Co więcej forma ich będzie dostrojona do przestrzeni. Powtarzanie drugiego wiersza strofy, po pewnej pauzie w pieśni tatrzańskiej widocznie obliczone jest na echo. Rytm gondoliery i rytm pieśni bretońskiej naśladują uderzenie fali. Pieśni stepowe przeciągają, „zawodzą“, polatując ku krańcom horyzontu...

A teraz o pieśni ludowej polskiej. Autor zakreśla zadanie polskiego folklorysty w sposób następujący: 1) Oddzielić pieśni ludowe i staroszlacheckie od pseudo-ludowych. 2) Odtworzyć kształt pierwotny pieśni, która jest zawsze budową logicznie rozwiniętą i skończoną. 3) Przywrócić właściwe formy języka ludowego na miejsce literackich. 4) Szukać pieśniom polskim analogji z obcemi, przyczem może nieraz wykryje się skąd i którędy przybyły. To praca najwdzięczniejsza, dotąd prawie że nietknięta. Nie tyle tu chodzi o wskazanie wszystkich tekstów analogicznych — gdyż można być pewnym, że jeżeli temat jakiś istnieje w dwu literaturach, to znajdzie się we wszystkich innych — ale o stwierdzenie analogji w ogóle, tym bowiem sposobem pieśń polska zostaje wcielona do folkloru powszechnego.

Kilka takich analogji wydobył autor już obecnie. I tak rzuca pytanie, czy znana pieśń żołnierska: „Idzie żołnierz borem, lasem — przymierając głodem czasem“ nie przywędrowała przypadkiem z Włoch, skryta w fałdy sztandarów legionistów, bo znaną jest piosenka włoska treścią i rytmem dziwnie zbliżona do polskiej.

Na przykład Odysseuszowy temat powrotu męża czy kochanka znany w pieśni polskiej, wspólny jest jej z pieśnią piemoncką, francuską, szkocką i niemiecką, prześliczna legenda o matce, która z za grobu powraca do płaczących dzieci jest wspólna polskiej, jak duńskiej literaturze i t. d.

Zewnętrzną stronę książki prof. Porębowicza zdobił p. Stanisław Dębicki. Z dziwną przenikliwością i bystrością potrafił ten wielki artysta uchwycić prostymi bardzo środkami zasadniczy ton i nutę każdego ludu, od ponurych potworów skandynawskich, do pajęczej koronki francuskiej, i wyrazić je w rysunkach tytułowych, z których każdy dla siebie stanowi dzieło sztuki. Dwa z nich, podane obok w znacznie zmniejszonej reprodukcji dadzą może małe wyobrażenie o pieśni ludowej bretońskiej i francuskiej.

J.



WIARA*)

(PAMIĘCI MARJI WYSŁOUCHOWEJ).

Wierzę, że płomień, który noszę w sobie,
Wybuchnie w ogień, który śmierć przetrawi,
Wierzę, że płomień od niewoli zbawi,
Wierzę, że wskrzesi Tę, co leży w grobie!

Wierzę ja w Jutro, co nadzieją zgorze,
W dzień wielki wierzę, w górne nasze święta,
...I Przyszłość wstanie wiarą mą zaklęta,
Chociaż ja sama w trumnę się położę...

Marcelina Kulikowska.

*) Ze zbiorku: Dusze kobiece, serca kobiece.

WANDA DALECKA.

MALUCZCY.

„Błogosławieni cisi...“

Są dusze ciche, których przeznaczeniem jest świecić, jak świeci w jesienne noce wśród rozsłoniętych mgieł jakaś gwiazda nieoczekiwana, mówiąca nam, że poza zwałami chmurzysk istnieje świat czystych błękitów, dziedzina gwiazd, gdzie duchowi człowieka wolno jest poszukać ojczyzny.

Te dusze - gwiazdy posiadają moc cudownej niewidzialności; w życiu powszedniem niemal ich niewidzimy lub widzimy bardzo tylko pobieżnie i bardzo obojętnie, w każdych sprawach przechodząc nad nimi do porządku dziennego; prawie nie zwracamy uwagi na tę słodycz ciszy, którą promieniują, na to ciepło niezmienne, a wyraźne, którem darzą każdego, kto tylko w krąg ich istnienia wejdzie. Zaledwo z odległości lat lub przestrzeni zaczynamy rozumieć i czuć, czem były właściwie i nieraz, gdy podnosimy wzrok nad ziemię lub w głąb siebie go zatapiamy, napotykamy jaśnienie tych gwiazd, przedziwnie cichych i czystych.

Któż z nas w latach dzieciństwa, albo kiedy dusza budzi się w młodości, czy może w jakich smutnych lub stanowczych chwilach, nie spotykał koło siebie tych ognisk cicho płonących do których zbliżamy się bezwiednym ruchem zmarzniętego ptaka, lub znękanego tułacza, którego serce przejęte jest chłodem i pustką. Nie była to nawet spowiedź, ani wyznanie, ani burza łkań — w milczeczeniu przychodziliśmy do cichych i jedynie blask słodki ich istnienia, przeczysta cisza gwiazdnych sfer, w których mieszkają, otulały nas ukojeniem, nadawały pogodę naszym myślom.

Godnym uwagi jest fakt, że w życiu każdego niemal z poważnych pracowników myśli lub czynu znajdzie się jakaś chwila, dłuższa lub krótsza, której sternikiem był bardzo cichy człowiek; niewidzialną niemal ręką potrafił on nacisnąć czyjąś zwrotnicę życia, albo rzucić blask pewnej silnie określonej barwy na znaczną przestrzeń czyjejś drogi życiowej. Potrafił to zrobić bez najmniejszych nawet starań ze swej strony, jedynie siłą własnej wartości, ciepłem swojej duszy.

Przyprowadza mię to do przekonania, że w życiu jednostek i całych szeregów jednostek nie-

zmiernie ważną rolę odgrywają takie ciche wpływy; przeto istnienia ich, jakkolwiek zdają się nam być drobne, przelotne, małoznaczne, mają o wiele głębsze i donioślejsze znaczenie; one to może tworzą w życiu zbiorowem ten podkład igliwia i martwych liści, na którym najbujniej rozkrzewia się posiew zdrowych idei i szczytnych wierzeń.

Zdawałoby się, że przeznaczeniem tych istot jest cierpienie za życia, a po śmierci - zapomnienie. Potomność o nich nie mówi, ani ich czci. Ale jest pamięć serca; ta ich nie grzebie i przychodzą chwile, gdy się je z głębin serdecznych wywodzi i z uczuciem wdzięczności, a łzą rozrzewnienia na szalę wspomnień najsłodszych kładzie.

I.

Jedna z bliskich mi osób, wyjeżdżając z Europy, wręczyła mi swoje papiery ze słowami: zrób z tem, co życzysz. Były to notatki, listy, rękopisy odczytów; wśród nich znalazłam zeszyt, który zdaje się był rodzajem pamiętnika, czy też wspomnień, luźnie notowanych. Kilka ustępów tam przykuło moją uwagę; wybieram niektóre stanowiące, jak zdaje się, jedną całość; upoważniona powyższą uwagą właścicielki wyciągam je na światło dzienne.

1901 r. Listopad.

Dziwne spotkało mię zdarzenie. Dziwne? — może nie tak bardzo. Przygotowanem może było oddawna i tylko czekało chwili, aby zajść mi drogę. Dziwnem to jedynie, że przyszło tędy; ale kiedy nosimy w sobie oddawna posiew jakiejś myśli lub uczuć, nie jestże to drobną rzeczą, czy ten lub ów fakt zewnętrzny wywoła go do życia?

Oddawna życzyłam dokupić coś sobie do mego zbioru przyrodniczego; w tym celu zaszłam onegdaj do sklepu. Z nabytym przedmiotem pan Z. wręczył mi katalog swego sklepu.

Wieczór dnia tego był jakiś długi, nudny; deszcz lał bez przerwy, w kominie wiatr wył i nerwująco klekotał zasuwką u pieca. Nawet moje chryzantemy opuściły główki, jakby chciały umrzeć. Nie mogłam zabrać się do żadnej roboty, męczyło mnie wszystko: — zresztą nic nie szło.

Zniechęcona, zabrałam się do przerzucania katalogu; możeby coś jeszcze dokupić? — „Custido lutaria, tropidonotus natrix, aurelia aurita; actinia vidnata...“

Na końcu czytam: czaszka goryla, szkielet kameleona, czaszka małego krokodyla i wreszcie — czaszka człowieka!

Za pięć złotych — czaszka człowieka. Nie mylę się — wyraźnie podano cenę; dokładnie otaksowano na pięć złotych. Tyle tylko warta.

Czaszka ludzka.

Kiedyś, pod tą czaszką roiło się od żywych, może namiętnych, może tkliwych wzruszeń — kiedyś, były tu może wielkie wzloty ducha, kiedyś, ten mózg może mówił z Bogiem! Była tu może natężona, bolesna praca, były może szlachetne, miłujące myśli.

Czaszka ludzka za pięć złotych! To naczynie ludzkiego bolu i pragnień, ten święty Graal człowieczeństwa, świątynia bożego ducha — więc i to także przedażne? Pięć złotych! taniej niż szkielet kameleona, niźli czaszka krokodyla, co żywił się mięsem ludzkiem. Gdzieś, ze wspólnego dołu mogilnego, albo poprostu ze stołu prosektorjum wzięto tę czaszkę; nabyto za pieniądze i znowu ją odsprzedają. Czaszka biedaka, który nie mógł tyle nawet zapracować w życiu, aby obronić siebie od kupczenia po śmierci jego kośćmi. Nędza — szpitalne łóżko — wspólny dół — a potem czaszka moja za pięć złotych. Kto da więcej?

Nagie analogicznym rzutem pamięci myśl moja drgnęła wspomnieniem. Cisnęłam ze wstrętem katalog i stałam już przy mojej szafce w rogu pokoju, przy tej szafce — skrytce, gdzie chowam niepotrzebne już rzeczy, których wszakże żal zniszczyć, stare listy, a także pamiętniki. Któż z nas niema takiego kącika, takiego sanktuarjum, którego nieraz straszno dotykać?

Oto jest — oto już znalazłam. Idę z tą kartką pod światło lampy... Jak dawno — jak strasznie dawno!

— — — — — — — — — — — — — —

Te same rysy, te same dobre, świetliste oczy — lecz gdzie ty sam jesteś? dlaczego tak dawno nie mówiłam z tobą! Czy to mnie wir życia odniósł od ciebie, czy to już ty kędyś — daleki?.. Byłoby to straszne, abyś ty przestał pamiętać o mnie.

— — — — — — — — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Na srebrnym globie powieść Jerzego Żuławskiego wyszła obecnie w drugiem wydaniu, nakładem lwowskiego towarzystwa wydawniczego, z rysunkami A. Procajłowicza. W powieści tej dorównał autor, jak już ze sprawozdań o pierwszem wydaniu wiadomo, najpiękniejszym fantazjom Vernego, a zwłaszcza Wellsa. Drugie wydanie, dowodzi, że ten rodzaj powieści, tak ulubiony obecnie w literaturze angielskiej i u nas znalazł szerokie koła czytelników, co oczywiście zawdzięczyć należy przedewszystkiem talentowi autora.

Historja literatury polskiej, wykłady uniwersyteckie dra Romana Pilata. Tom II. Cz. I. w opracowaniu prof. dra Wilchelma Bruchnalskiego i dra Stanisława Kossowskiego. Lwów 1909. Księgarnia Altenberga. Ocena „Historji literatury polskiej“ śp. Pilata będzie na miejscu i na czasie po okazaniu się ostatniego tomu. Nastąpi to niebawem. gdyż poszczególne tomy wychodzą raźno i w niewielkich odstępach czasu. Zasługa to niewątpliwie prof. Bruchnalskiego, jako tego, który kieruje redakcją całości spuściny śp. Romana Pilata. Żelazną swoją wytrwałość poświęcił jednak szanowny profesor nietylko całości wydawnictwa — ale opracowuje także poszczególne jego części, jak np. w niniejszym tomie część o Mikołaju Reju. Opracowanie to polega po pierwsze na ustaleniu właściwego tekstu śp. Pilata, pozostałego w kilku redakcjach z różnych lat, a powtóre na przystosowaniu tak ustalonego tekstu do najnowszych wyników nauki, co przy Mikołaju Reju tem większe przedstawiało trudności, że rok jubileuszowy ojca poezji polskiej przyniósł bezlik prac i drobnych przyczynków do jego życia, działalności, epoki. Wszystkie one zostały szczegółowo uwzględnione przez prof. Bruchnalskiego, skutkiem czego rzecz o Mikołaju Reju jest do pewnego stopnia rekapitulacją i ostatnim wyrazem nauki polskiej o poecie.

Resztę tomu niniejszego, względnie pierwszej jego części, obejmującej ogólną chrakterystykę złotego okresu literatury naszej, poezję łacińską: Jana Kochanowskiego, opracował znany badacz okresu dr. Stanisław Kossowski.

Król Bolesław Chrobry, poemat dramatyczny Marceliny Kulikowskiej. Lwów 1909. Tow. wydawnicze. Nazwisko autorki znane jest w nowelistyce i poezji. Gładki, potoczysty język cechuje jej utwory, piękny wiersz i dużo uczucia. Wszystko to występuje także w niniejszym poemacie dramatycznym, którego węzeł tkwi w walce między synami Bolesława Chrobrego Mieszkiem i Bezpraimem. Poemat składa się z trzech części i obfituje w miejsca bardzo piękne.

Trudno inaczej... powieść Aliny Świderskiej 1909. Tow. wydawnicze. Łzawa sielanka wśród dobrych mniej więcej ludzi, w smutnej nad wyraz sytuacji życiowej, zakończona małżeństwem z poświęcnia dla dziecka... nieślubnego. Charakter kobiecy — bohaterki powieści niezwykły — sama zaś powieść daje wiele wzruszeń dobrych, pogodnych, spokojnych.

I.

NOTATKI.

Posągi Wita Stwosza w Insbruku. Doniosłego odkrycia w dziedzinie historji sztuki dokonał ostatnimi czasy p. Ludwik Stasiak. Oto na podstawie materjału archiwalnego zebranego wielkim nakładem pracy, a wyzyskanego z niezwykłą bystrością i znajomością historji sztuki wykazał niezbicie, że na słynnym grobowcu cesarza Maksymiljana w Insbruku znajdują się posągi będące dziełem Wita Stwosza. W rozporządzeniach norymberskiej rady miejskiej odszukał p. Stasiak jak najwyraźniejsze ślady, że cesarz Maksymiljan w tym czasie zamówił u Wita Stwosza kilka posągów bronzowych do ozdoby swojego grobowca. Podobne zamówienia otrzymał także Piotr Vischer.

Dalsze dowody zebrane przez p. Stasiaka wykazują że Stwosz zamówienie to wykonał, posągi do Insbruka dostawił, a że w ciągu wieków liczba posągów na grobowcu cesarza Maksymiljana się nie zmieniła, przeto dzieła Wita Stwosza muszą się między nimi znajdować.

P. Stasiak przypuszcza na podstawie różnych danych, że dziełami temi są posąg Teodoryka króla Gotów. Cymbarki mazowieckiej, a być może takie posągi króla Artura, Elenory i Mafji Burgundzkiej.

Wyniki swoich badań ogłosi p. Stasiak niebawem w osobnej książce.

Z ruchu antykwarskiego. Najnowszy katalog (nr. 170) antykwarjatu Jolowicza w Poznaniu, świadczy, że przedsiębiorstwo to, mimo śmierci swego założyciela i długoletniego właściciela Józefa Jolowicza pozostało nadal jednem z wybitniejszych źródeł rzadkości bibljograficznych. Z ciekawszych, książek wystawiono w tym katalogu na sprzedaż Cellariusa opis Polski (20 mrk.), niektóre drobniejsze dzieła Starowolskiego, Jabłonowskiego „Heraldica“ Lwów 1742. (30 mrk.), Okolskiego „Orbis Polonus“ (120 mrk.), kilka prac rzadszych z literatury o Kaszubach, Krzisztanowicza opis Polski (wydanie niemieckie z r. 1697), hiszpański panegiryk na cześć Sobieskiego napisany po odsieczy wiedeńskiej przez don Józefa de la Vega i wiele innych.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.